



Dawna krakowska zima

2020-01-15

Choć nic nie wskazywało, aby zima 1875/1876 miała być szczególnie surowa, to jednak już 30 listopada 1875 r. krakowski magistrat uruchomił przy ul. Szpitalnej ogrzewalnię „dla ubogich”. Były to dwie izby, jedna dla mężczyzn, druga dla kobiet. W mroźne noce mogli w nich szukać schronienia „ubodzy pozbawieni przytułku”. Na razie jednak zima niezbyt dokuczała krakowianom. Choć w pierwszych dniach grudnia dość obficie spadł śnieg, to jednak „święta Barbara była po wodzie”.

Michał Koziół

Deszcz nie stopił jednak śniegu, do usuwania którego zabierali się niezbyt ochoczo dozorczy. Pierwszą ofiarą tej zimy był Henryk Powa, pracownik urzędu telegraficznego, który 4 grudnia na ul. Stolarskiej, przed bramą przechodniej kamienicy upadł tak nieszczęśliwie, że „złamał lewą nogę powyżej kostki”. Zemdłonego pana Powę odwieziono do „szpitala klinicznego”, natomiast do policyjnego aresztu „Pod telegrafem” trafiła druga ofiara zimy. Był nią Karol Przechoński, z zawodu szewc, którego widok śniegu obficie zalegającego na ulicy Siennej tak rozochocił, że zaczął rzucać śnieżnymi kulami w okna kamienic.

Zimowe przepisy

Po św. Barbarze zaczęło śniegu przybywać. Zmusiło to magistrat do przypomnienia krakowianom „przepisów co do uprzątnięcia śniegów z chodników i podwórczy, oraz zrzucania ich z dachów, wysypywania chodników podczas gołoledzi popiołem lub piaskiem i wywożenia z podwórców śniegu za miasto”. Śnieg z dachów mógł być zrzucany tylko przez jedną godzinę, czyli między godziną dwunastą a pierwszą po południu. Służby miejskie usuwały śnieg z ulic. Obowiązek oczyszczania chodników oraz podwórek należał do właścicieli kamienic. Usuwano śniegu nie trzeba było wywozić zbyt daleko, bo jedynie „za most Zwierzyniecki nad Wisłą; na plac Aryanów poza ogród Botaniczny; poza most Stradomski i na Dajwórze”.

Zima nadal atakowała. 6 i 7 grudnia 1875 roku na krakowski dworzec pociągi z Lwowa i Wiednia przyjeżdżały z godzinnym opóźnieniem. Jak donosił „Czas”: „Kraków doszedł do smutnej sławy, że okazał najniższy w całej Europie stan ciepłoty, bo -25°C”. Mrozy nie trwały jednak długo, już 14 grudnia nastąpiła odwilż. Ułatwiło to służbom miejskim usuwanie śniegu z jezdni, a prasie dało powód do narzekania na opieszałość dozorców, którzy niezbyt energicznie zabierali się do odśnieżania chodników.

Deszczowe święta

Wigilia w 1875 r. była „po wodzie”. „Czas” pisał nawet, że „deszcz ze śniegiem zaledwie pozwalał wychylić głowy z domu”. Pomimo brzydkiej pogody krakowianie tłumnie ruszyli na pasterkę. Niestety, jak pisała prasa, wielu z nich uczyniło to „więcej z nawyknięcia niż potrzeby ducha i pobożności”. „Czas” twierdził wręcz, iż „nigdy tyle nie zdarza się spotkać pijaków co na mszy pasterskiej”. Zaraz po świętach zima wróciła do Krakowa. Opady śniegu były tak obfite, że do jego usuwania trzeba było



zaangażować miejską straż ogniową, energicznie kierowaną przez komendanta Eminowicza. Śniegu było naprawdę dużo. Kiedy 28 grudnia zapalił się na Zwierzyńcu dom majstra szewskiego Jana Szewczyka, straż przybyła na miejsce już po pożarze, który doszczętnie strawił drewnianą, krytą słomą chatę. Przyczyną opóźnienia były „zatory śniegowe”.

Po świętach krakowianie nie przygotowywali się jakoś specjalnie do nadchodzącego sylwestra. W drugiej połowie XIX stulecia Polacy jeszcze nie nauczyli się hucznie świętować powitania Nowego Roku. „Silvesterabend” ciągle jeszcze uważany był za obcy, niemiecki zwyczaj. Niewątpliwie najszlachetniej i najhojniej uczcił nadejście Nowego Roku znany krakowski biznesmen Jan Armółowicz, który zaprosił do swojej kamienicy przy ulicy Floriańskiej 100 ubogich krakowian na sylwestrowy obiad. Rozdaniem stosownych zaproszeń miały się zająć instytucje dobroczynne.

I znowu śnieg

Przez dwa dni, czyli 5 i 6 stycznia 1876 r., Kraków przeżywał prawdziwą inwazję zimy. Opady śniegu były tak wielkie, że – jak donosiła prasa – „literalnie wypadło brnąć po kolana w śniegu, a były miejsca, gdzie na dwa łokcie i więcej leżał śnieg”. „Czas” z 8 stycznia donosił, że na ul. Krowoderskiej tak skutecznie ugrzęzły w śniegu dwie dziewczyny, iż musiały wzywać pomocy.

Jak już wspomniano, śnieg ze śródmieścia wywożono. Między innymi zrzucano go do Rudawy, która w tamtych czasach wpadała do Wisły niedaleko Wawelu. Praktyka ta nie podobała się mieszkańcom przedmieść. Potwierdza to notatka, jaka ukazała się w „Czasie” z 12 stycznia 1876 r. Czytamy w niej: „Od jednego z obywateli zwierzynieckich dochodzi nas zażalenie, że most na Rudawie bywa niewłaściwie zastawiany wozami i saniami wywożącymi śnieg z miasta, tak iż nie tylko przejeżdżać, ale nawet częstokroć przechodzić nie można. Most nie jest miejscem, skąd by śnieg był zrzucany, gdyż przepisano, że śnieg ma być wywożony za most”.

Śnieżne nieporozumienia

Jeżeli wierzyć krakowskiej prasie, wywożenie śniegu z miasta było okazją do powstawania zabawnych nieporozumień, jak choćby to, o którym w lutym 1876 r. doniósł „Czas”: „Jeden z obywateli wiejskich, który prowadzi dom w Krakowie, kazał fernalowi swemu, gdy ten przywiózł do miasta siano i owies dla jego koni, zabrać z dziedzińca śnieg i wywieźć po drodze za miasto. Fernal zrozumiał doskonale, że ma naładować pełne sanie śniegu, a nie wdając się w widzimisię pańskie, bo w jego mniemaniu tylko widzimisiem mógł być rozkaz wywożenia śniegu, którego wszędzie pod dostatkiem, wyruszył z miasta z saniami, na które parobek domu nie żałował nabić śniegu, ile się tylko zmieściło. Zamiast atoli śnieg wyrzucić za miastem, jechał do domu, mruczając, że mu się konie męczą. Dopiero gdy w dwumilowej blisko drodze wypadło koniom ciągnąć pod górę, ulitował się ich i poszedł do dworu po przyprzążkę. Zdumiano się, co on tak ciężkiego wiezie i dopiero wtedy dowiedziano się, że pan przysyła na wieś pełne sanie śniegu krakowskiego”.

Rzecz jasna Wisła, w tamtych krystalicznie czysta, zamarzała już po pierwszych mrozach. Kończyła się żegluga. Galary zimowały, a flisacy, zwani w Krakowie „galarnikami”, szli „na bezrobocie”. Zamarznięcie „królowej polskich rzek” miało też i inne skutki. Dowodem na to jest notatka prasowa, która ukazała się na łamach „Czasu” 30 stycznia 1876 r. Brzmiała ona: „p. Walenty Sasorski, rybak,



**Magiczny
Kraków**

złożył w policyi siedm ksiąg kupieckich firmy »D.G. Seinfeld u. Söhne w Wrocławiu«, które nieuszkodzone i opieczetowane w worku znalazł w łodzi na Wiśle pod Zamkiem”. Owo zagadkowe znalezisko „Czas” skomentował słowami: „Zapewne nie dostały się tu one przypadkowo, bo między Odrą a Wisłą nie ma komunikacji”.